



## COKOLWIEK MNIE PRZEJMUJE...

*Cokolwiek mnie przejmuje gniewem lub podziwem,  
napętnia czią i wiarą, uczuciem rozkwieca, —  
widzę to Czarodziejskie Coś — cielesnem, żywem, —  
postać jego jest piękna, dumna i kobieca.*

*Wyśniłem własną Miłość. To kapfanka biała.  
Chłód posagu w niej mieszka, taki jak w westalce.  
W bieli szat tonie wdzięk jej różowego ciała,  
odsłonięte są tylko twarz, dłonie i palce.*

*Jej dziewiczość przedziwna i czar przypomina  
mi jedno z smętnych płócien mistyka Böcklina:  
ofiarę w Świątym Gaju Nieznanemu Bogu —*

*— rozmodlone kapfanki w fabędzim szeregu  
po szmaragdowej trawie, naksztaft słupów śniegu,  
dążą ku ostarzowi łać w ogień miód z rogu.*

EUGENJUSZ KORWIN-MAŁACZEWSKI.

# ROZSTRZYGNĘCIE GÓRNOŚLĄSKIE.

D. 20 marca b. r. odbył się na Górnym Śląsku plebiscyt. D. 20 października b. r. zakomunikowano rządowi polskiemu i niemieckiemu oparty na wynikach plebiscytu wyrok międzynarodowego areopagu, decydujący o podziale spornego terytorjum. *Zakomunikowano nie notyfikowano.* Podkreślamy tę formalną i słowną tylko pozornie, ale w istocie bardzo ważną dla prawnego stanu rzeczy różnicę. Traktat bowiem Wersalski zastrzega, by w terminie czterotygodniowym po „notyfikacji“ rozstrzygnięcia stronom interesowanym wojska i władze okupacyjne opuściły obszar plebiscytowy a rządy polski *respective* niemiecki zajęły przyznane im terytorja.

Tymczasem jednak w rozstrzygnięciu samem tkwią momenty, które z punktu widzenia niektórych mocarstw koalicji czynią notyfikację natychmiastową nieco kłopotliwą i w szczególności termin czterotygodniowy — za krótki.

Chodzi o to, że wyrok Genewski składa się z dwóch części: w pierwszej wytycza linię graniczną, w drugiej nakłada na Polskę i Niemcy pewne wiążące dla obu stron klauzule ekonomiczne. Otóż część pierwsza odpowiada wymaganiom Traktatu Wersalskiego, część druga wszakże w Traktacie nie jest przewidziana. Polska i Niemcy, przeto, na mocy podpisanego przez nie Traktatu Wersalskiego zmuszone są do przyjęcia podyktowanej im linii granicznej, nie wszakże pod względem prawnym nie zmusza ich do przyjęcia podyktowanych im również klauzul gospodarczych.

Dlatego też Francja, dla której zasadnicze znaczenie posiada polityczna strona decyzji, była za tem, by „notyfikując“ zaraz państwu interesowanemu nowo przepisana granicą, jednocześnie „zalecić“ im tylko przyjęcie przepisanych również zobowiązań ekonomicznych. Nie wydało się to jednak dość bezpiecznym Anglii, z punktu widzenia której gospodarcza strona problemu górnośląskiego góruje nad polityczną do tego stopnia, iż jak wiadomo pragnęła nawet, w drodze mocno naciągniętej interpretacji plebiscytu, oddać t. zw. trójkąt przemysłowy Niemcom, jako gospodarczo bardziej wyrobionym i pewniejszym od Polaków. Chodziło tedy Anglii szczególnie o to, by strony interesowane zmusić do przyjęcia klauzul gospodarczych, które, zdaniem znawców, gwarantują normalny bieg pracy i produkcji w podzielonym politycznie zagłębiu górnośląskim.

I jak co do linii podziałowej osiągnięto kompromis, przechylający szalę raczej ku stronie Francji, tak co do praktycznego przeprowadzenia tego kompromisu zwyciężył punkt widzenia angielski. W myśl sugestji angielskiej postanowiono nie „notyfikować“ jeszcze, tylko „zakomunikować“ Polsce i Niemcom wyrok genewski oraz wezwać je zarazem do pertraktacji w spra-

wie drugiej jego części. Dopiero po przyjęściu przez obie strony przewidzianych w niej klauzul nastąpić ma uroczysta notyfikacja nowych granic, poczem dopiero w przewidzianym traktatowo prekluzyjnym terminie czterotygodniowym Polska i Niemcy zająć będą mogły przyznane im części Górnośląska.

W ten sposób szczęśliwie użyty dla oznaczenia tej samej treści odmienny wyraz („komunikować“ zamiast „notyfikować“) — nie po raz pierwszy zresztą w dziejach dyplomacji — oddał jej znaczną rzeczową usługę.

Bądź co bądź stwierdzić trzeba, że od dnia plebiscytu do ogłoszenia jego prawomocnej konsekwencji upłynęło okrągło 7 miesięcy, do ostatecznego zaś jej zrealizowania wedle optymistycznych obliczeń upłynęło jeszcze ze dwa miesiące.

Dlaczego trwało to i trwać ma jeszcze tak długo?

Wśród wielu przyczyn najważniejszą niewątpliwie jest jedna: zwycięstwo, jakieśmy w znacznej mierze przy plebiscycie osiągnęli, nie było druzgoczące. Nie był to niestety Grunwald.

W danych warunkach z góry można było przewidzieć, że tylko w razie takiego bezwzględniego tryumfu rezultat jego byłby uznany bez dalszej walki. P. Keynes w znałej swej książce, która tak silny wpływ wywarła na umysły, wyraźnie z góry twierdził, że argumenty jego za przyznaniem Górnośląska Niemcom utraciłyby moc decydującą tylko wtedy, gdyby Polacy uzyskali „przytłaczającą większość“ przy plebiscycie. Otóż „przytłaczającą większość“ zdobyliśmy tylko w powiatach Pszczyńskim i Rybnickim (przeszło 70%) i także w Tarnogórskim (65%). Nie ulega wątpliwości, że gdybyśmy taką większość mieli na całym obszarze plebiscytowym, nikt nie śmiałby kwestjonować takich rezultatów. W braku jednak zwycięstwa druzgoczącego, czynniki, które z góry skłonne były oddać Górny Śląsk raczej Niemcom niż Polakom, zakwestjonowały i to zwycięstwo względne, jakieśmy wedle litery traktatu odnieśli, na obszarze, zamkniętym linią Korfantego. Zakwestjonowały, stwierdzając i podnosząc fakt, (którego wedle litery traktatu stwierdzać i podnosić nie trzeba było, który tem nie mniej ma siłę sugestyną), że Niemcy na całym obszarze plebiscytowym uzyskali bezwzględną większość 60% głosów, — licząc 180 tysięcy emigrantów i 65 tysięcy głosów w zupełnie niemieckich i zupełnie niepotrzebnie plebiscytowi poddanych Głupczycach. Na tej podstawie oparłszy się, Anglija interpretowała na korzyść Niemiec zastrzeżenia Traktatu Wersalskiego, wedle których przy ocenie wyników plebiscytu należy uwzględnić konieczności gospodarcze i geograficzne.

Na pociechę powiedzieć sobie musimy, że w warunkach, w jakich plebiscyt się

odbył, wobec funkcjonowania administracji niemieckiej, nacisku ze strony niemieckich dyrektorów i właścicieli rolnych oraz niemieckich księży, wobec udziału w głosowaniu emigrantów i Głupczyczan, — wobec faktu z drugiej strony, że Polska w czasie akcji plebiscytowej wciągnięta była w niszczącą ją gospodarczo a niepopularną w Europie wojnę bolszewicką, i że wiadomość o pomyślnem a definitywnem zakończeniu tej wojny zapóźno przeniknęła na terytorjum plebiscytowe, — w tych okolicznościach, nawet to względne zwycięstwo jakieśmy osiągnęli, jest sukcesem ogromnym, który, przypieczętowany krwią powstańców górnośląskich, każe nam z otuchą patrzeć w przyszłość sprawy naszej także i na odciętej od Polski części Górnośląska.

Na dziś sukces był bądź co bądź tak znaczny, że umożliwił Francji — wbrew nieprzychylniej nam przeważnie opinii innych mocarstw Europy — wywalczyć przyznanie nam większej części okręgu przemysłowego plus skrawek okręgu rolniczego (3/4 powiatu Lublinieckiego).

Z bogactw Zagłębia wedle obliczeń francuskich otrzymaliśmy: 82% węgla, 51% koksu, 100% cynku i ołowiu, 65% żelaza, 70,5% stali, nie licząc wielkich hut metalurgicznych i fabryk, wśród nich także bardzo ważnych dla rolnictwa naszego nawozów sztucznych. Polsce także przypadła wielka centrala elektryczna w Chorzowie. Natomiast całą niemal sieć kolejową przyznano Niemcom, co ma dla nas bardzo ujemne znaczenie pod względem tak ekonomicznym jak zwłaszcza strategicznym.

Wspomniane klauzule ekonomiczne zaprowadzają jednak na okres prowizoryczny lat 15-tu pewnego rodzaju condominium gospodarcze polsko-niemieckie w całym Zagłębiu. Zdaniem znawców klauzule takie są istotnie niezbędne dla podtrzymania produkcji w okresie przejściowym. W interesie polskim leżałoby skrócenie czasu trwania tego prowizorjum, pod niektórymi zwłaszcza względami. W tym też kierunku pójdą zapewne starania naszej delegacji, na czele której stanął wyznaczony już do rokowań p. Kazimierz Olszowski.

Smutny cień na rozstrzygnięcie górnośląskie rzuca fakt, że po za świeżo wytkniętymi granicami pozostaje na terytorjum plebiscytowym jeszcze 700 tysięcy Polaków, którzy nadal znosić będą jarzmo pruskie. Ufać musimy, że nadejdzie godzina, kiedy i oni połączą się z Macierzą, kiedy Polska na całej przestrzeni Górnośląska oprze się mocno o swoją naturalną, historyczną i etniczną zarazem granicę Odry, którą narazie osiągnęła tylko na małym odcinku w południowej części powiatu Raciborskiego.

# OKRES DOJRZEWANIA W ŻYCIU DZIECKA.

(DALSZY CIĄG).

Przejawia się on najpierw jako solidarność koleżeńska, która ma na celu obronę wspólnych interesów, przybiera stopniowo charakter bardziej altruistyczny, a wreszcie rozrasta się w tendencję do łączenia swoich wysiłków z wysiłkami innych w celu osiągnięcia wspólnego dobra. Wyrazem tych szlachetnych dążeń społecznych są liczne stowarzyszenia młodzieży oraz obchody i uroczystości, chętnie przez nich organizowane.

Wyrazem tych samych dążeń, lecz w zakresie mniejszym, prywatnym jest *przyjaźń*. Trudno o czynnik, mający większe znaczenie w życiu młodzieży, jak przyjaźń. Czynnik, którego nasza szkoła nie dość uwzględniła, a który szkoła rosyjska systematycznie niweczyła. Wartość moralna przyjaźni w wieku dojrzewania jest zależna od wartości danych osobników oraz od środowiska. Początkowo zmieniają się ciągle objekty przyjaźni, a samo przywiązanie jest właściwie mieszaniną różnych uczuć. Powoli jednak, w okresie późniejszym, krystalizuje się przyjaźń, wykazując wzajemne zaufanie, potrzebę szacunku, wspólność upodobań i dążeń. Osoba przyjaciela odgrywa wtedy, jakby rolę sumienia, skąd wypływa — zależnie od wartości jednostek — bądź ciągła dążność do wyższości moralnej, bądź też upadek moralny.

Przejawem nadmiaru uczuć, stale towarzyszącym okresowi dojrzewania, jest również owo uczucie, będące mieszaniną przyjaźni i zachwyty, które Niemcy określają, jako *Schwärmerei*. Uczucie to rozpowszechnione więcej wśród dziewcząt, a mniej wśród chłopców, zwraca się do jednostek tej samej lub odmiennej płci i ujawnia dużo egzaltacji i przesady. Nie jest jednak szkodliwe, o ile przedmiotem jego jest osoba, o charakterze szlachetnym, już ustalonym i we właściwy sposób korzystająca ze swego wpływu. W tym wypadku uczucie to może być czynnikiem zagrzewającym do pracy i pobudką do doskonalenia się. W każdym razie nie można go uważać za nienormalne, gdyż jest ono tylko jednym z naturalnych przejawów budzącej się uczuciowości, która w młodej duszy wre i kipi aż dopóki nie znajdzie właściwej drogi w miłości dla jednostki wybranej.

Normalna kolejność uczuć u młodzieży jest więc następująca: I stopień potrzeba kochania, drugi — ogólna skłonność do innej płci, trzeci — skłonność do określonego osobnika innej płci.

Przeszedłszy w krótkości przejawy życia uczuciowego młodzieży, dochodzimy do wniosku, że uczuciowość jest w okresie dojrzewania potężnym, może jedynym motorem czynu i że promienie jej padają na wszystkie dziedziny życia duchowego.

*Życie umysłowe*, do którego z kolei przechodzimy, jest również polem, na które uczucie wielki wpływ wywiera. Jednym z licznych przykładów tego są zjawiska, które opisują Jules Lemaitre, <sup>1)</sup> roztaczając przed nami *świat myśli dziecka*. Zjawiska te, będące właściwością jedynie tylko okresu dojrzewania, którym Lemaitre, stosownie do różnic w nim zachodzących, daje nazwy: personifikacji, dyjagramów i barwnego widzenia — polegają na tem, że pewne litery, cyfry, słowa lub pewne pojęcia w umyśle dziecka przedstawiają się bądź jako obdarzone przymiotami ludzkimi (personifikacja), bądź w formie obrazów o ściśle określonych barwach, bądź w kształcie linii i figur geometrycznych. Gdy dziecko słyszy mowę lub gdy czyta, wywołuje to w nim jakieś ideje oraz kojarzenie różnorodnych wrażeń. Te skojarzenia utrwalają się i powracają zawsze w podobnych warunkach w tej samej postaci. Dla objaśnienia parę przykładów:

Pewien chłopiec znajdował, że *r, i, s* są to osoby, które patrzą na prawo, stulecia są to starcy z białymi brodami, którzy po niebiosach wędrują; u innych dzieci przedmiot jakiś, bądź osoba wywołuje wrażenie koloru określonego, naprz. słowo ojciec wywołuje przed oczami plamę czarną. U innego chłopca cyfry kolejne lub dni tygodnia układają się stale w linje wygięte, lub owalne. Zjawiska te są odbiciem stanu uczuciowego na umyśle. Poznanie ich ma wielkie znaczenie, bowiem w tych właściwościach umysłu, od których dziecko uwolnić się nie może, leży aż nazbyt często powód nieuwagi, roztrzępania i pewnych nienormalności pamięci, a także dają one nam ważne przyczynki do uczuciowości dziecka.

Istnieje olbrzymia różnorodność w sposobie *mimowolnego myślenia*. Lemaitre rozróżnia trzy typy: takich, którzy myśli swoje wewnętrznie mówią, którzy je wewnętrznie słyszą i wewnętrznie widzą, czyli myślenie artykułowane, słuchowe i obrazowe. Dwa ostatnie typy, słuchowe i obrazowe obejmujemy mianem myślenia zmysłowego; prócz tych grup podstawowych istnieje dużo pośrednich. W wieku dojrzewania różnorodność myślenia jest nadzwyczajna, większa niż u dorosłych, u których ustala się zazwyczaj przewaga jednego typu myślowego. Jednostki o typie myślenia zmysłowego mają pamięć słuchową lub wzrokową i ogólnie biorąc wykazują wybitną wyższość w naukach pamięciowych, a także według Lemaitre'a więcej zdolności poetyckich i matematycznych. Druga grupa (myślenie artykułowane) obejmuje bardzo różnorodne inteligencje, od najbardziej za-

cofanych i leniwych aż do tych, które błyszcą, lub które idą w kierunku rozumowań oderwanych. Leży w interesie nauczania rozróżniać typy myślowe zmysłowe od artykułowanych, bądź aby kłaść nacisk na gałęzie wiedzy, które trudniej przychodzi, bądź też by specjalizować w kierunku tych właśnie wrodzonych zdolności i doprowadzić do maximum wydajności i twórczości duchową.

Zastanowiwszy się nad typami myśli i stosunkiem, jaki zachodzi między nimi, a zdolnościami, przejdźmy do innej funkcji umysłowej, jaką jest *zdolność wnioskowania*, czyli rozumowania. Młodzież nie zdaje sobie zupełnie sprawy ze swego stosunku do świata, to też, rozumując, stawia siebie w centrum wszelkich zagadnień. Klasyycznym przykładem tego jest doświadczenie, które zrobił Lemaitre wśród uczni 14 letnich. Podyktował im następującą opowieść: Trzydziestu uczni stało około szkoły, jeden z chłopców rzucił w przechodzącą osobę zgniłe jabłko, osoba ta wniosła zażalenie do profesora. Wszyscy uczniowie wiedzieli, kto to zrobił, lecz zachowali tajemnicę. Nauczyciel zastosował zbiorową karę. W dalszym ciągu Lemaitre kazał chłopcom odpowiedzieć na pytanie, czy postąpilibyście tak samo? Z odpowiedzi okazało się, że 20 chłopców przeciwko 2-om uznało karę zbiorową za *sprawiedliwą*. Po pewnym czasie taki sam wypadek zdarzył się istotnie w tej samej klasie. Gdy po 3 dniach minęło już podniecenie, znowu zadano uczniom pytanie, jakie jest ich zdanie w sprawie zbiorowej kary. Tym razem 24 przeciwko 6 uznało karę zbiorową za *niesprawiedliwą*. Jak widzimy, rozumowanie młodzieży jest inne, zależnie od tego, czy osobisty interes jest zaangażowany lub nie.

Właściwość ta zdaje się niestety nie zmieniać i w wieku dojrzałym! i napróżno usiłujemy się od niej uwolnić.

Mimo egoistycznego podkładu wieku dojrzewania, nie tylko porywy idealne, ale i *zrozumienie idealów* nie jest mu obce, tylko że to zrozumienie stosuje on w większym stopniu od innych, niż do siebie, w myśl przysłowia, że łatwo jest krytykować, lecz trudno działać. Postęp w porównaniu z okresem dzieciństwa jest jednak duży. Dziecko nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego miałoby oddać innemu cukierek, który dostało, natomiast wiek dojrzewania ma już swoje wyrobione pojęcia o doskonałości. Jedna z ankiet Lemaitre'a wykazała, że uczniowie uważają za największe zalety: uprzejmość, pilność, wreszcie szlachetność. Za najgorsze wady: dokuczliwość, kłótniowość, potem lenistwo, gadatliwość, wreszcie kłamstwo, próżność i hypokryzję.

<sup>1)</sup> Jules Lemaitre: La vie mentale de l'adolescent.

CEZARY ŁAGIEWSKI.

## PAN ANDRZEJ I MARGRABIA.

Zgasło słońce Rzeczypospolitej. Na ziemiach, w skład jej wchodzących, zapanał mrok niebywały... Wykreśloną została Polska z szeregu Państw Europy... Z wyjazdem króla Stanisława Augusta do Grodna, a następnie do Petersburga zamarło życie na zamku warszawskim... Wielu przedniejszych obywateli opuściło mury Warszawy, by bądź to poza granicami kraju, bądź to w cichej wsi polskiej szukać ukojenia w smutku, jaki ich spotkał... Nie było jednak wtedy tak, jak chcą niektórzy, nienoszono „powszechnej po stracie Ojczyzny żałoby“. Ojczyzna nasza i wtedy nawet żyła. Straciła wprawdzie formy państwowego bytu, ale była ona w sercach tych, którzy ją szczerze i serdecznie kochali... Dalszy okres naszych dziejów porozbiorowych dowieść miał, że prawa narodu silniejsze są ponad wszystkie międzynarodowe traktaty i zmywy mocarstw. Tak. Prawa narodu to prawa życia. I w pierwszych latach po abdykacji Poniatowskiego jest tak, jak to bywa zawsze: jedni umierali, inni pracowali, a jeszcze inni szykowali się na tych, co pracę podjąć mieli... I wtedy: jedni z boleścią w duszy, z żalem prawdziwym kładli się do mogiły, inni pragnęli siłą swego męskiego wieku „ruszyć bryłę z posad świata i nowemi pchnąć ją tory“, a jeszcze inni dopiero rodzili się, lub przygotowywali do tej walki, jaka ich w życiu czekała... Do tych ostatnich właśnie należeli: Andrzej Artur hr. Zamoyski i Aleksander Wielopolski, późniejszy margrabia Gonzaga Myszkowski.

Andrzej Zamoyski urodził się w dniu 2 kwietnia r. 1800 w Wiedniu, jako drugi z kolei syn Stanisława, ordynata na Zamościu i żony jego, Zofji z ks. Czartoryskich. Z domu rodzicielskiego wyniósł był służbę publicznej miłowanie i tradycję rodu, który przez pięć wieków służył Rzeczypospolitej, wysokie zajmował urzędy, królów na tronie obsadzał, z królami się spokrewniał, który sam niejednokrotnie miał możność osiągnięcia korony, a który nigdy po nią nie sięgnął.

Aleksander Wielopolski urodził się w dniu 13 marca r. 1803 z ojca Józefa i matki Leonory z Dembińskich, siostry rodzonej generała Henryka. Był najstarszym z licznego rodzeństwa i jak widzimy pochodził również z arystokratycznej rodziny.

Ojciec Andrzeja po upadku kraju przebywał czas dłuższy za granicą—temu przypisać należy urodzenie późniejszego twórcy Towarzystwa Rolniczego na obczyźnie. I dziecinne lata spędzał tam Andrzej Artur. Pierwsze nauki odbiera w Paryżu. Dopiero jako starszy nieco zjawia się w Krakowie. Stolica świata, Paryż była mu kołyską. Że przyzwyczaiła go do wytworności nie potrzebujemy dodawać. Kraków ze swemi pamiątkami kształcił kilkonastoletniego chłopczykę w uczuciach dla Ojczyzny. W Pod-

zamczu gościem bywał tylko, w Warszawie również rzadko. W roku 1816 wyjeżdża Andrzej z braćmi do Genewy, gdzie studjuje matematykę i inżynierję cywilną. Z pobytu jego w Szwajcarii znajdujemy dużo szczegółów w dziele historycznym „Jenerał Zamoyski, 1803—1868 r.“ Są to pamiątki brata młodszego, Władysława, wydane nakładem Biblioteki Koźnickiej. Z nich to dowiadujemy się, że profesora mi młodych Zamoyskich byli: Ausbach, dyrektor kolegium (literatura starożytna), prof. Luther (matematyka), Dufour, były kapitan inżynierji francuskiej i gorący patriota szwajcarski (inżynierja). Zamoyscy nie zaniedbywali historii literatury polskiej, którą w Genewie studjowali pod kierunkiem Karola Sienkiewicza. Guwernerami Zamoyskich byli dwaj szwajcarzy: Lemberg i Decoppet. Z towarzyszków ich młodości z tego miejsca i z tego okresu wymienić należy: przybranego syna kasztelana Linowskiego, ściślej mówiąc jego wychowanka, Adama Łęskiego, który w przyszłości miał zostać ministrem-sekretarzem stanu i jako taki nie pozostał bez wpływu na późniejszą pamiętną działalność „pana Andrzeja“.

W Szwajcarii poznał się przyszły nasz działacz z bohaterem narodowym, Tadeuszem Kościuszką. Że znajomość ta wywarła na jego umysł młody i wrażliwy wpływ wielki, że umocniła w nim miłość własnego narodu i poczucie kmieci niedoli — o tem dodawać niepotrzeba.

We wspomnianych wyżej pamiątkach Jenerała Zamoyskiego czytamy, że Andrzej chętnie przebywał w towarzystwie wielkiego wodza, opowiadań i uwag jego z natężoną słuchoł uwagą, popisywał się przed nim zdobytą u obcych wiedzą. Zapamiętał był on sobie słowa zachęty: „dobrze chłopcze, pracuj, zda się to może kiedyś biednemu krajowi“.

Czasy pobytu Andrzeja Artura w Genewie przypadają na pierwsze lata istnienia Królestwa Kongresowego — na lata nadziei i zapału wśród Polaków. Iluzjom, po których tak ciężkie spotykały nas rozczarowania nie oparł się nawet wódz nasz ukochany, z pod Racławic bohater. I on myślał, że choć na skrawku Ziemi Polskiej polskość rozwijać się będzie mogła swobodnie. I on pośpieszył z listem dziękczynnym do cara Aleksandra I-go. Chciał, prawdopodobnie, Kościuszką, by młodzież polska do służby publicznej dobrze się przygotowała, w Andrzeju Zamoyskim widział młodzieńca przyszłości, nie szczędził mu też słów zachęty i napomnień.

Ojciec przyszłego twórcy Towarzystwa Rolniczego, który już za Księstwa Warszawskiego ugruntował sobie wybitne stanowisko w kraju, pragnął by i synowie jego na podobnych utrzymywali się szczeblach. Nie kończą więc edukacji w Genewie, idą dalej. Andrzej Zamoyski w roku

1819 wyjeżdża do Edynburga, gdzie w starszej szkockiej wszechnicy studjuje inżynierję oraz ekonomję polityczną — tę ostatnią pod kierunkiem prof. Mac Cullocha. Po trzyletnim tam pobycie (w r. 1822) wraca do kraju i tu przez czas jakiś bacznie miejscowe obserwuje stosunki.

Taką była wiosna życia u popularnego później „pana Andrzeja“. A jakąż była ona u margrabiego? Niewiele o niej powiedzieć można. Nawet tak bardzo wyczerpująca choć zkadinał zbyt panegiryczna biografja, jaką jest praca o Wielopolskim Henryka Lisickiego — niewiele nam szczegółów dostarcza. Wiemy tylko tyle, że od 1812 do 1816 kształcił się w Theresianum w Wiedniu, że ojciec jego „trzymał się zdala od spraw publicznych i burz czasu, tak w nie obfitego“, że powodem tego był warty stan zdrowia, który spowodził przedwczesną śmierć, mającą miejsce również w Wiedniu w r. 1815. Główną i jedyną opiekunką Aleksandra była matka, o której mówi Lisiecki, że była kobietą męzkiego charakteru, trudziła się pieczą o przyszłość rodziny i wychowaniem dzieci. O ile wywnioskować dziś można pani Józefowa z Dembińskich Wielopolska wychowywała dzieci „w jaknajwiększej swobodzie i niezależności“ — do roku 1818 zamieszkiwała ona w Wielkich Oczach w Przemyskiem — poczem osiadła w Książu. Przenosiny te sprawiły, że i Aleksander opuścił Wiedeń i oddany został do Liceum Warszawskiego. Nauki wyższe pobierał on w Królewskim Uniwersytecie Warszawskim, następnie w Paryżu i Getyndze gdzie uzyskał doktorat. Głównym przedmiotem studjów było prawo, a następnie filozofja. Do kraju powrócił w r. 1824. Wracając się do Zamoyskiego, zaznaczamy że w roku powrotu Wielopolskiego z Getyngi wstępuje pan Andrzej na służbę rządową i poślubia Różę hrabiankę Potocką, słynną z urody, jak twierdzi Władysław Zamoyski, córkę Antoniego b. jenerała Wojsk Polskich i żony jego również Róży z hr. Potockich. Młoda pani Andrzejowa wnosi mężowi, jako wiano dobra Ręczaje pod Warszawą. W r. 1825 zostaje Andrzej referendarzem nadzwyczajnym Rady Stanu, następnie jej członkiem; widzimy go dalej na stanowisku zastępcy dyrektora przemysłu i kunsztów. Na tem stanowisku doprowadza on do skutku budowę bulwaru na Sołcu nad Wisłą, rzuca projekt stałego mostu na Wiśle, przewodniczy w komitecie robót szosy kowieńskiej, przyjmuje udział w Komitecie Budowy Teatrów Warszawskich, dokonywa rewizji więzień i zakładów fabrycznych w Królestwie Polskiem oraz rewizji robót około uregulowania Wisły, Pilicy, Nidy i Warty. Z racji swojego urzędu i z racji otrzymanego wykształcenia jest też Andrzej Artur Zamoyski współpracownikiem Lubckiego.

(D. c. n.).

T E F F I.

## NAUCZYCIELKA.

— Panienko! Proszę na lekcję! Mademoiselle przyszła!

Panienska składała książki, zbierała zeszyty i szła na lekcję.

Wszystko jedno, co za panienska, — mała czy duża, wesoła czy zahukana, ładna czy brzydulka, — tak dużo przewinęło się ich przez długie życie panny Bajou, że od dawna pomieszały się ich imiona i nie odróżniała jednej od drugiej.

Już wiele lat temu zauważyła, że nie może zapamiętać imion swoich uczenic, zaczęła więc mówić im poprostu „moje dziecko“, mon enfant, i sprawa została załatwiona.

Wszystko inne pozostawało bez zmiany. Ta sama gramatyka, te same tłumaczenia z Margo.

— Les genoux du chameau sont très flexibles, — kolana wielbłąda są bardzo giętkie, — dyktuje pana Bajou.

Tak samo dyktowała dwadzieścia, trzydzieści i czterdzieści lat temu... I tak samo Manusia, Basieńka, czy Helenka zapomniały pisać „X“ w wyrażeniu „genoux“ i „E“ w wyrażeniu „chameau“.

Koło niej przechodziło wielkie życie, mijały wypadki niezmiernej doniosłości dla świata i ludzi: epidemie, wojny, powstania, miłość ludzka z jej tragedjami, tęsknotą i szczęściem, — ale panna Bajou nie widziała tego.

Coprawda, gdy rozmowa schodziła na temat okropności wojny — robiła przestraszone oczy i z politowaniem zaciskała usta, ale było to nieszczerze i udane, — ze zwykłej grzeczności.

Wojna, epidemie, życie, — to rzeczy bez znaczenia i niepoważne. Wszystko to miga, pstrzy się i mija prędko. Odwrócisz się — już niema, już nadchodzi co innego, czego za chwilę nie ujrzyś.

Zostaje jedno wiecznie trwałe:

„Kolana wielbłąda są bardzo giętkie“.

To nigdy nie przeminie, bo jest wieczne, niewzruszalne, i absolutne. To nauka.

Czasem zdarzy się, że spotka na ulicy którą z dawnych uczenic, — panią z mężem i dziećmi.

— Mademoiselle Bajou! Pani wciąż ta sama! A to są moje dzieci. Widzi pani, jakie duże.

Mademoiselle uśmiecha się do dużych dzieci i przez długi czas stara się przypomnieć sobie, kim była przedtem ta pani: płakasiwą Kasią, czy złą Marynią, która umyślnie rozbiła kałamarnicę?

Wyszła za męża, pewnie jest szczęśliwa, — a może nieszczęśliwa. Zdaje się, że ktoś jej umarł, czy urodził się...

Wszystko migoce, pstrzy się, mija. To niepoważne.

— Pisz, moje dziecko: „Kolana wielbłąda są bardzo giętkie“.

Raz jeden tylko życie ją porwało i od tej chwili głowa jej się zabawnie trzęsie

na bok, jak gdyby wciąż czegoś nie uznawała, z czemś się nie zgadzała.

Miała dwa przywiązania na ziemi: kotkę Jolie i panią Paul.

Kotka — było to stare, obrzydliwe i niewdzięczne stworzenie, Skóra wisała na niej, jak worek, i jeśli się jej rękę położyło na grzbiecie, to można było wyczuć, jak się ruszają mięśnie, ogołoczone z kości.

Ze starości rozłożyła się na składowe części i rozlatywała się cała.

Nie bacząc na swoją nędzę, Jolie przez całe życie pogardzała panną Bajou, i z pogardą w sercu zdechła.

Czując, że zbliża się koniec, wylaża na okno i wyszła na sąsiedni dach.

Mademoiselle Bajou z jękiem rozpaczki wypełzła za nią.

— Jolie! Jolie! Upadniesz! Zakręci ci się w głowie!

Płakała i włóczyła się po dachu, aż dopiero radosne okrzyki stróżów, zanoszących się od śmiechu na podwórzu, sprawiły, że się opamiętała i przez okno weszła z powrotem do pokoju.

A Jolie zeszała za sąsiednie podwórze i zdechła. Pogardzała panną Bajou.

Madame Paul była starą, emerytowaną nauczycielką i przez wiele lat mieszkała z panną Bajou w jednym pokoju.

Miała nieznośny, swarliwy charakter. O każdym miała coś nieprzyjemnego do powiedzenia i krytykowała nawet podręcznik Margo. Wiedziała wiele mądrych rzeczy, o których jej współlokatorce się ani śniło. Codziennie rano wychodziła na schody i gęsiem skrzydełkiem wytrzepywała ze starej włóczkowej spódnicy szkodliwe bakterie, a kiedy wychodziła na ulicę, miała w oba nozdrza zatknięte kawałki waty, żeby niebezpieczne mikroby nie mogły dostać się do nosa.

Z panną Bajou postępowała jak z psotną dziewczynką: upominała, groziła, karciała. Aż niespodziewanie umarła na cholere.

Panna Bajou przez długi czas pojąć nie mogła o co chodzi. Nie rozumiała, że jeśli człowiek umrze, to już na zawsze, i wciąż śpieszyła się do domu, żeby pani Paul nie rozgniewać.

Aż zrozumiała nareszcie.

I oto jeden, jedyny raz przez cały czas swej pedagogicznej działalności, zbuntowała się jej dusza przeciw wiecznym, niewzruszalnym prawom, zapaliła się, zadrgały w niej nowe, nieznanne struny i zamiast dyktować o kolanach wielbłąda, powiedziała nowe, w najtajniejszych głębinach myśli urodzone słowo:

— Le cholera est très malsain. Cholera jest bardzo niezdrowa. Très malsain.

Chciała dodać coś jeszcze, ale poczuła się nagle samotną, bezradną i opuszczoną. Zatrzymała się, przeraziła własnych słów i zapłakała gorzko. Po raz pierwszy w życiu odeszła, nie dokończywszy lekcji.

Przez dwa dni siedziała w domu, myślała o śmierci, o starości i kupiła sobie rudą peruczkę.

Pannie Bajou bardzo w niej było niedobrze: twarz miała pocziwą, okrągłą, drobne czerwone żyłki na policzkach i oczka małe, pełne zaufania. Peruka miała swoje własne życie: zamasyście spadała na kark, lub z fantazją przeginała się na bok. Koło skroni wylażyły z pod niej cienkie, siwe włosy, ale panna Bajou nie zwracała na to najmniejszej uwagi.

Na uczenicach i ich rodzicach peruczka wywarła przynębiające wrażenia.

— Ona chyba zwarjowała na starość!

Uczony lekarz, przyjaciel rodziny, powiedział z powagą, nachmurzywszy brwi:

— To nic. Lekkie zaćmienie zmysłów na tle erotycznym. Zdarza się często u starych panien w jej wieku.

Służba chichotała wesoło.

W dwóch domach podziękowano jej za lekcje, nie podając powodów.

Razu pewnego przy lekcji, mała Kazia, nie zważając na obecność matki, powiedziała z chytrą minką:

— Siwe włosy pani wylażą, — i peruka nic nie pomoże.

Matka zaczerwieniła się:

— Moje dziecko, wyjdź, proszę, na chwilę, chciałabym pomówić z panną Bajou.

Dziewczynka wyszła.

— Mademoiselle Bajou, ... niech mi pani daruje... jestem pani szczerze życzliwa... ale po co to pani robi?... przecie pani już w podeszłym wieku...

Ku jej wielkiemu zdumieniu panna Bajou nie zmieszła się ani trochę. Podniosła swoje małe oczka pełne ufności i powiedziała:

— Nie, proszę pani, nie jestem w podeszłym wieku.

Matka dziewczynki zmieszła się i nawet przestraszyła.

— Niech pani nie ma urazy do mnie... Każdy ma prawo nosić takie uczesanie, jakie mu do gustu przypada, ale, widzi pani, przykład dla dzieci... Pani przecie najlepiej wie, ile pani sobie lat liczy...

Ale panna Bajou, nie spuszczać oczu, powtórzyła:

— Nie jestem w podeszłym wieku. Zapewniam panią, że nie. Jestem bardzo, bardzo stara kobieta. Ta peruczka mnie odmładza, a gdybym jej nie nosiła, każdy domyśli się odrazu, że jestem stara, i nie będę miała ani jednej lekcji. Być może, że jest śmieszna, ale bez niej nie miałabym chleba. Je n'aurai pas de pain, madame!

Jej małe oczka spoglądały serdecznie i życzliwie. Serdecznie i prosto. Bo i czego miałyby się wstydzic? Spytano ją — więc objaśniła.

— No — moje dziecko, a teraz do roboty. Pisz, proszę: „Les genoux du chameau sont très flexibles“. Kolana wielbłąda są bardzo giętkie...

Przekład z ros. W. B.

JADWIGA MARCINOWSKA.

## W POŻODZE EUROPY.

(DALSZY CIĄG).

## ROZDZIAŁ II.

Zita i Ruta miały ku środkowi jesieni wyjechać do Krakowa. Ta zamierzona pospólna podróż była właściwie pomysłem i postanowieniem Zity, pragnącej nakłonić siostrę do rychlejszego wyboru wyraźnej drogi w życiu: „Trzeba się określić — w sobie“ mówiła.

Ruta kiedyś na taką wzmiankę kategoryczną podniosła swoje jasne, pogodne i korne oczy: „A ty, czy jesteś już w sobie określona, — chociaż to drugi rok?“ Tamta zlekka odwróciła głowę, przelotnie zmącenie odbiło się w jej subtelnych rysach: „Staram się“ odrzekła półgłosem.

„Bliźniaczki, a takie od siebie całkiem różne“ czynił czasem uwagę stryj Toporczyński, opiekun. Stryjenka nie zaprzeczała, nadmieniając jednak niekiedy, że mogą być podobieństwa znajdujące się gdzieś w wewnętrznych pokładach usposobienia pod pozorną całkowitą różnicą. W poszczególnej kwestji przyszłego zawodu dla Ruty wyrażała zdanie, że chyba na rozwoju jej, zaiste niepospolitych zdolności do muzyki, oprzećby to należało. Zresztą państwo Toporczyńscy oboje osobiście wyjazdowi niezbyt sprzyjali, było im dobrze z Rutniką; z drugiej strony wszelako sprzeciwić się nie chcieli przekonaniom i wpływom Zity, ani też wtrącać się arbitralnie do stosunków między siostrami.

Dziewczęta były sieroty i to im zapewniało od wczesnych lat stanowisko dość niezależne; stryj opiekował się pozostałym po rodzicach niewielkim funduszem, a w sprawach wychowawczych oglądał się raczej na żonę; ona zaś miała w tym względzie swoiste drażliwości. Do obowiązku kierownictwa ogólnego poczuwała się wprawdzie, ale w szczegółach ulegała najczęściej skrupułom i wahaniom: „Nie moje, — mawiała w takich razach, nie urodziłam — i może niedosć odczuwam i rozumiem, mogę się na ich szkodę — omylić...“ Podobnej taktyki przytrzymywała się aż do czasu, gdy wychowanki skończyły szkołę średnią, później wycofała i taką ostrożną interwencję. „Nie trzeba im przeszkadzać; niechaj przyszłości szukają nieskrępowane“... Myślała, że to jest cudna i subtelna chwila, kiedy się młode głowy podnoszą z ciekawością ptaśzącą ku tym świtom różowym, któremi się — rzekomo szczęśliwe — jutro na widnokręgu zwiastuje. Dziewczęta posiadały w niej życzliwego i — tylko w głębi duszy — dyskretnie niespokojnego świadka swoich pierwszych zamierzeń i prób...

Zita spędziła już dwa lata na wydziale rolniczym w Krakowie; wybór jej orzekł się wcześniej ze wszelkimi oznakami pewności i wydawał się być ustalonym. W czasie wakacji stryj Karol nawpół z uznaniem a nawpół żartobliwie zwracał się do

niej o pomoc w gospodarskich kłopotach. Najczęściej mawiał: „Jednakże zuch dziewczyna!“ Rzecz przedstawiała mu się zarazem jako prosta i jako skończona. Stryjenka natomiast przypatrywała się dziewczęciu uważnie, zachowując wynik spostrzeżeń czy domysłów dla siebie.

Ruta ostatniego roku odwiedziła siostrę, przebywając u niej kilka tygodni. Czy w tym okresie zakiełkował już zamiar wstąpienia na własną drogę? Czy zrodziło się to cokolwiek później w pierwszych wakacyjnych długich i poufnych z Zitą rozmowach? dość, że w początkach lipca stało się powszechnie wiadomem, iż Ruteńka wyrusza po samodzielny, po twórczy udział w życiu... Oczywiście narazie przygotowywać się doń będzie musiała... Ona sama zdawała się o tem myśleć jeszcze w sposób nieokreślony, w jej pogodnych, łaskawych oczach widniał wciąż po dawnemu spokój lekkiego rozmarzenia, jaki bywa niekiedy w żrenicach małych dzieci. Jesień prawdopodobnie coś bardziej konkretnego przyniesie...

Ale tymczasem na świecie w pełni królował lipiec, a więc do końca wakacji było dosyć daleko. Pod drewnianymi ścianami zacisznego dworku w Zalesiu floksy, lewkonje i gwoździki kwitły w obfitości pachnącej i różnobarwnej, w malowniczym mieszanym. Pani Toporczyńska dozwalała rość kwiatom w dzikiej, jak mawiała, swobodzie. Czyniła tak nie całkiem ze swojego upodobania, owszem wołałaby może grządki pooddzielane i więcej symetrycznego ładu, ale Zosinka przepadała właśnie za takim bujnym, radosnym kolorowym chaosem, a życie Zosinki było dla matki prawem.

Wyrzucała sobie Toporczyńska tą słabość dla jedynaczki; aż do zbytku skrupulatna z natury, czyniła sobie z tego wiele grzech. „Ale cóż ja pocznę? skarżyła się niekiedy; nie mogę oprzeć się temu dziecku, nie mogę“. Jeśli ją uspakajano trafną uwagą, że dziecko, zaiste bardzo dobre, sytuacji nie nadużywa, odpowiadała, nie niweczając w sobie zmartwienia: — „To prawda, a jednakże czuję, że inaczej postępować powinna“. Uczuwała, że inaczej powinny być „dla zasady“. Uczciwość w niej przybierała charakter doktrynerstwa.

Walcząc ze skrupułami, wyznawała poufnie w trudnych chwilach: „Nie mogę oprzeć się, bo ilekroć sprobuję, ogarnia mnie dziwny lęk... Nie uwierzcie, wydaje mi się naówczas, że Zosinkę raptownie przesłania jakoby mgła, z przed oczu mi ją zabiera, że oddalenie jakoweś dziecko odemnie odnosi i, że znagła napróżno za nią wyciągam ręce“...

Dziecko było zdrowe i logicznie rzecz biorąc, nie nastęczało widocznego powodu do obawy. Było przeważnie ciche,

w uczuciach i sympatjach swoich skupione. W szczegółach życia praktycznego dosyć niezdarne, zasię z usposobienia wrażliwe i obraźliwe, skryte rany miłości własnej wykazywało w skłonności do niemego płaczu, który bez szlochań z ogromnych, ciemnych i błyszczących oczu wydobywał łyzy srebrne, spływające rzęsimym strumykiem.

Kędzierzawa brunatna główka o nadmiernej obfitości wijących się krótkich włosów pochylała się częstokroć z rozkoszą nad grzędami bujnego kwiecia tuż pod ścianą domową. Zanurzała się ściągła i śniada dziecięca twarz w tej gęstwinie pachnącej, w różnobarwnym i przemiłym chaosie. Zdawało się, iż Zosinka wdycha do szczupłej piersi ten przedziwny rozpęd życiowy, swobodę kwiatów, które nie nie pytając, garną się ku słońcu i rosną. — Miękka i łatwo ulegająca zmąceniu natura dziewczynki zdawała się upajać tem kolorem bogactwem, tem roślinnem, żywiołowem weselem.

Nie nadużywając swojego w matczynej miłości przywileju, jedynaczka Toporczyńskich nie przeszkadzała starszej młodzieży. Różnica wieku w stosunku do sióstr stryjecznych nie pozwalała jeszcze na jakąkolwiek rywalizację albo porównywanie. Siostry miewały dla „tej małej“ pieczętę, nie odsuwały od swego towarzystwa, znosząc jej, najczęściej milczącą, obecność, jako normalny składnik w domowym biegu życia; ona zasię przysłuchiwała się ich rozmowom i lubiła bywać w pobliżu, wodząc za ich ruchami cichem spojrzeniem swoich płonących oczu.

Rodzice z sobą o córce rozmawiali niewiele. Pan Karol nie pocieszył się nigdy, iż Zosinka nie urodziła się synem, którego wymarzył był sobie swojego czasu i pragnął bardzo głęboko. Gdy żona w rzadkich przystępach zaufania otwierała mu się z troską o zdającą się zagrażać miękkość i „niepraktyczność“ dziecka, Toporczyński machał ręką, uspakajając: „Dziewczyzna“. Zresztą kochał córeczkę po swojemu, nie wymagając od niej żadnych wyraźnych zalet i chętnie mimochodem przesuwał dłonią po jej gęstych i ciemnych lokach, opadających na szczupłe ramiona przyciętą, krótką falą.

Tego lata szczególnie był pod urokiem Witolda; „Oto naprzykład, gdyby taki chłopiec“... powiadał. Radował się młodemu gościowi; żartobliwie przymrużał oczy, spoglądając na jego dworskość w stosunku do starszych dziewcząt: „Ho! no! a może“, domyślnie kręcił głową. „Bodaj to taki chwata!“ mawiał do otoczenia. I w domu raźniej, i w życiu bujniej, i na sercu weselej.

# TAJNA PRACA OŚWIATOWA W WARSZAWIE.

Rok 1894, poświęcony pamięci Kościuszkowskiego powstania, pamiętny wystawą we Lwowie i zjazdem tamże z całej Polski ludzi, spragnionych Ojczyzny i wolności dał początek wielu śmielszym poczynaniom narodowym, niejedną śpiącą duszę polską obudził, ośmielił niejedno trwożne i zgnębione serce.

Między innymi w tym roku zawiązała się w Warszawie organizacja tak zwanego Tajnego Nauczania, zwanego także Bezpłatnym Nauczaniem, gdyż z początku nie pobierano za nie żadnej opłaty. Później system ten uległ zmianie, ale nazwa długo się utrzymywała.

By zrozumieć doniosłość i wartość tej pracy uprzytomnić sobie trzeba ówczesną Warszawę, zgiętą pod jarzmo rosyjskie, rozkoronowaną, zamienioną na miasto prowincjonalne, pełną żandarmów, szpiegów, cenzorów, popów, czynowników, jawnej i tajnej policji, ale za to pozbawioną szkół, stowarzyszeń, związków, odczytów, zgromadzeń publicznych, jakichkolwiek czynników oświaty i kultury, Warszawę pozornie szaloną i uśmiechniętą, w głębi, przechowującą pamięć dawnego swego majestatu, drgającą jeszcze bólem ostatniego powstania, gorącą i rewolucyjną stolicę wiecznego spisku.

W tem mieście liczącym już wówczas kilkaset tysięcy mieszkańców znikomą była ilość szkół miejskich przeznaczonych dla uboższej ludności.

Szkoły miejskie były już w owym czasie gruntownie zrusyfikowane, w wielu z nich kierownikami byli, Rosjanie i Rosjanki. W niektórych religję katolicką wykładali prawosławni nauczyciele, a nauczanie stało na poziomie wprost niesłychanym. Po siedm lat uczęszczało dziecko do szkoły tej i nie zdołało w ciągu tego czasu posiąść umiejętności czytania w jakimkolwiek — polskim czy rosyjskim języku.

Mimo to, szkoły te przepełnione były dziećmi proletariatu warszawskiego, rwącego się do światła i podnioslejszego żywota.

A poza szkołą, oficjalną dziesiątki tysięcy dzieci w wieku szkolnym nie otrzymywały żadnej nauki, do żadnej nie uczęszczały szkoły, chyba tylko do tych akademii nadwiślańskich, w których mistrzami byli złodzieje i rzeźmieszkę z profesji.

Nie dziw, że w kraju tym z każdym rokiem powiększał się procent analfabetów, z każdym rokiem rósł zastęp przestępców, prostytutek i wyrzutków wszelkiego rodzaju.

Wprost narzucała się każdemu polskiemu sercu konieczność otoczenia tej dziatwy opieką, dania jej choć nikłego promyka światła. Ale nauczanie gromadne poza szkolne zabronione było ukazami jeszcze cara Mikołaja I-go potwierdzonymi potem przez ukaz Mikołaja II. Albowiem trzeba było, aby Polska — konała w ciemności i brudzie.

Cheąc przeciwdziałać zabójczemu dla narodu systemowi, należało przełamać nakaz. Dziś już ludzie zapomnieli, czem było za panowania carów przełamanie zakazu.

Wśród działaczek warszawskich swego czasu jedną z najwybitniejszych postaci była Cecylja Śniegocka. Żona inżyniera a więc człowieka względnie niezależnego, bezdzietna, zatem rozporządzająca swą ilością czasu kobieta dziwnie gorącego serca, niezrównanego humoru i dowcipu, a nieugiętej woli — postanowiła po powrocie z wystawy Lwowskiej zorganizować tajną pracę oświatową, na wielką skalę.

Już poprzednio prowadziła tajną szkołę w Otwocku i pod okiem miejscowej policji gromadziła codziennie około 40 ściorga dzieci. Później w Warszawie zbierała gromadki dzieci i uczyła sama, a gdy z powodu choroby nie mogła doprowadzić kursu do końca, powierzyła tą pracę nauczycielce.

Te drobne doświadczenia były dla niej jakby wskazówką, w jaki sposób zbudować należy organizację.

Pragnęła jednak oprzeć ją o liczniejszy odłam w społeczeństwie. Praca bowiem wymagała funduszy — a inicjatorka osobistego majątku nie posiadała.

Zatem pod koniec 1894 r. zwołała w Warszawie zebranie, z kilkunastu wybitnych osobistości, którym przedstawiła swe dążenia i plan całej akcji.

Spotkała się z niedowierzaniem, krytyką, pesymizmem.

„Za trzy miesiące wsadzą was wszystkich do kozy i na tem się rzecz cała zakończy“ — powiedział jej znakomity historyk. Zdanie to podzielali i inni.

Mimo to rozpoczęła wyteżoną, niezmiernie pracę.

Dobrawszy sobie do pomocy kilka kobiet pełnych zapału i energii organizować poczęła tajne szkoły.

Robiło się to mniej więcej w ten sposób:

W dzielnicy robotniczej wynajmowało się pokój na naukę, nie rugując bynajmniej lokatorów tego mieszkania. Od kompletu dzieci, liczącego od 12-stu do 20-stu uczniów i pracującego 2 do 3-ch godzin, płaciło się właścicielowi mieszkania 4 rb. miesięcznie. Takich kompletów zmieniało się w ciągu dnia 3, czasem 4.

Tym sposobem właściciel miał zapłaconą przeciętną wówczas cenę mieszkania. Gdy w dodatku dzieci jego uczyły się za zwyczaj darmo, bywał zupełnie z tego układu zadowolony, a sprawę ze stróżem i rewirowym sam już najczęściej załatwiał, ściślej mówiąc zapijał.

Do takiego mieszkania zatem z całą konspiracyjną ostrożnością schodziły się codziennie dzieci i nauczycielki. Książki i kajety nosiły dzieci ukryte pod paltami i sukienkami. Nie wolno im było wchodzić i wychodzić gromadnie, nie wolno nikomu obecnemu wskazać adresu szkoły, wymienić

nazwiska nauczycielki, a tymbardziej „pani“, u której odbywały się zapisy do tajnych szkół. Przeważnie bowiem zapis i egzamin dzieci zgłaszających się do nauki odbywał się w mieszkaniu inicjatorki i kierowniczki Tajnego Nauczania.

W późniejszych dopiero czasach zdecentralizowano tę akcję. Tam również zawierano układy z nauczycielkami, odbywano sesje nauczycielskie oraz posiedzenia osób w tajnym nauczaniu stowarzyszonych. Co do nauczycielek rekrutowano je z pośród osób znanych lub dobrze poleconych. Niektóre z nich pracowały zupełnie bezinteresownie, większość nie mogła wyrzec się skromnego, nad wyraz, zarobku, stanowiącego jednak często jedyny ich sposób utrzymania.

Zapłata wynosiła za jeden komplet dzieci (2 — 3-g. dnia pracy dziennie) 12 — 16 rb. miesięcznie.

Niektóre nauczycielki podejmowały się pracy w 3-ch, nawet 4-ch kompletach dziennie, poświęcając dzień cały tajnemu nauczaniu, czyniąc sobie zawód z tej tajnej pracy oświatowej. Tylko najbliższe kółko osób, współpracujących z p. Śniegocką nad organizacją tej niebezpiecznej imprezy, oraz ona sama oddawały cały swój czas i trud przez długi szereg lat zupełnie bezinteresownie. A zaprawdę, bywały to nieraz 8-miogodzinne dni pracy!

Przy egzaminowaniu dzielono dzieci, stosownie do zasobu posiadanej przez nie wiedzy na 4 oddziały: wstępny (analfabeci) pierwszy, drugi i trzeci. W następnych latach z dzieci, pragnących uczyć się dalej, tworzono oddział czwarty. Każdy komplet, czy i każda szkołka tajna składała się z dzieci, należących do jednego oddziału.

Ta możliwie doskonała równość przygotowania dzieci, w połączeniu z niewielką ich liczbą dawała w rezultacie szkołom tajnym ogromną przewagę nad jawnymi, w których nauczyciel pracować musiał od razu nad gromadą złożoną z kilkudziesięciu dzieci najrozmaiciej przygotowanych.

Wytworzono zatem jakby nowy typ nauczania, nauczanie domowe pozwalające w ciągu 2 godzin więcej dać dzieciom wiadomości, niż uczynić to może nauczyciel zwykłej szkoły w ciągu 5-ciu czy 6-ściu godzin.

To też rodzice ze zdumieniem spostrzeżać zaczęli, że tajna szkoła i uczy i wychowuje i przywiązała się do niej gorąco.

Dziś, gdy rozmaite trudności natury państwowej, nie pozwalają na faktyczne zaprowadzenie powszechnego nauczania, gdy zwłaszcza stoi temu na przeszkodzie brak lokali szkolnych — należałoby może przypomnieć sobie owo nauczanie domowe. Powinnyby o tem pomyśleć towarzystwa oświatowe, a zwłaszcza vegetująca ideowo w bezczynności Polska Macierz Szkolna.

Helena Ceysingerówna.

(dok. n.).

## KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Otrzymałmy od Związku patriotycznego Polek w Wilnie następującą:

### REZOLUCJĘ

wiecu kobiet z dnia 2 października 1921 roku.

My, kobiety Polki, zgromadzone na wiecu kobiet w Wilnie, w dniu 2 października 1921 roku uchwalamy, co następuje:

1) Oświadczamy wszystkie jednogłośnie, że najświętszym i najpotężniejszym pragnieniem naszym i niezłomną wolą naszą jest wcielenie Wilna do Polski. Miłości swej dla Polski dowiodliśmy ofiarą krwi synów naszych, pracą swą, poświęceniem, męczeństwem — i praw swych decydowania o losach Wilna nie zrzecemy się nigdy.

2) Wyrażamy swoją niezmierną wdzięczność dla Generała Żeligowskiego, który wrócił nam wolność stanowienia o sobie, — skarb największy i najdroższy. Ufamy głęboko, że Generał Żeligowski przyczyni się do cudu nad Wilją, na Jego serce i w Jego ręce sprawę Wileńską składamy.

3) Żądamy jaknajwyższego zwołania Zgromadzenia orzekającego w sprawie Wileńskiej i pragniemy, by kobiety wzięły w niem udział dla wypowiedzenia swych gorących pragnień przynależności do Polski.

4) Postanawiamy jednogłośnie wysłać protest do wszystkich kobiet świata, potępiając krzywdzącą nas uchwałę Ligi Narodów i wzywając kobiety do walki z niesprawiedliwością, z jaką względem nas postąpiono.

W imieniu przyjdym wiecu:

przewodnicząca *Helena Sokółowska.*

Na tymże wiecu został uchwalony list do kobiet całego świata następującej treści:

Trybunał Sprawiedliwości reprezentowany przez Ligę Narodów, decyzją swą w sprawie zatargu polsko-litewskiego dowiódł jak trudną jest rzeczą utrzymać szalę słuszości i nie podporządkować się intrygom politycznym.

Werdykt wydany w sporze polsko-litewskim jest aktem krzywdzącej niesprawiedliwości, który poruszył

i oburzył całą ludność Wileńszczyzny, jest zarazem aktem ignorancji historycznej.

Nie miejsce tu na wykład historii, lecz przypomnieć należy, że od 5 wieków Wilno było ośrodkiem kultury i oświaty polskiej — że polski Uniwersytet Wileński założony w r. 1579 przez polskiego Króla rozniecał światło i naukę na całą Polskę, a uczeni Polacy, których ten Uniwersytet — wydał uznani i cenieni byli w całej Europie. Przypomnieć należy, że Wileńszczyzna etnograficznie litewską nie jest i że rozszerzenie jakichś praw do Wileńszczyzny ze strony Litwinów jest bezpodstawne i — że ludność tujejsza nie chce się poddać i nigdy się nie podda, choćby to krwią własną okupić — rządowi Litwy Kowieńskiej.

Statystyka dokonana w r. 1908 przez administratora djecezji Wileńskiej, wespół z duchowieństwem litewskim wykazuje, że w Wilnie na 96,000 Polaków jest 2,207 Litwinów, co stanowi zaledwie 2%. Statystyka dokonana w r. 1916 przez władze niemieckie, wykazuje że na liczbę 74,463 Polaków wypada Litwinów 2,909. Statystyka przez władze polskie sporządzona w r. 1920 wykazuje tę samą procentowość (2,9%) Litwinów, a w Wileńskim powiecie 7,5%.

Dane te wszystkie stwierdzają, jak orzeczenie Ligi Narodów nie wspiera się na żadnych rzeczowych fundamentach. Dlatego to, my Polki Ziemi Wileńskiej których mężowie, synowie i bracia krwią swoją wyzwolili Wilno z rąk dzikich hord bolszewickich, z którymi bratali się publicznie Litwini — protestujemy przeciw niesprawiedliwości oddania Wilna Litwinom i zwracamy się do Was Kobiety świata całego, do waszych serc bijących miłością Ojczyzny, abyście podtrzymały nasz krzyk bólu i oburzenia.

List ten organizatorki wiecu rozesłały do wszystkich pism w kraju i zagranicą.

### Jedno ogniwo więcej w łańcuchu.

Kobiety amerykańki z wykształceniem uniwersyteckim, zdecydowały na narodowym kongresie, mającym miejsce zeszłej zimy w Stanach Zjednoczonych złączyć się z kobietami o takim że wykształceniu, w Anglii i innych krajach i stworzyć międzynarodowe stowarzyszenie kobiet uniwersyteckich.

By ułatwić wymianę myśli, przyjaźni i pracy wszystkich kobiet z uniwersyteckim wykształceniem

z całego świata, postanowiono zakładać kluby w różnych miastach Europy i Ameryki, gdzie kobiety te mogłyby się zatrzymywać. Klub taki istnieje już w Londynie, podobny będzie otwarty wkrótce w New-Yorku, również pani Reid amerykańska filantropka, ofiarowała na ten cel dom w Paryżu, 4, rue de Chevreuse, którego otwarcie prawdopodobnie nastąpi jesienią. W Atenach również zakupiono już grunt pod budowę takiej siedziby.

Są to początki tego ważnego międzynarodowego ruchu, przyczyniającego się do zbliżenia się narodów.

## TOWARZYSTWO „PRZYJACIÓŁ FRANCJI”.

Z inicjatywy pani Róży Bailly, pełnej zasług dla naszej sprawy przyjaciółki Polski powstało w Warszawie towarzystwo „Przyjaciół Francji”, które będąc w związku z towarzystwem „Przyjaciół Polski” we Francji ma za zadanie zaznajamianie Zachodu z naszą kulturą, z postępami naszej wiedzy, sztuki i kultury. Na prezesa nowego towarzystwa powołano p. Henryka Radziszewskiego, na vice-prezesa dr. Kurtza, na sekretarkę pannę Mellerowicz. Tymczasową siedzibą towarzystwa jest redakcja „Tygodnika Ilustrowanego” (Zgoda 12) między godz. 7 — 8-ą wieczorem.

Towarzystwo „Przyjaciół Francji” składa się z czterech sekcji:

- 1) sekcja zabaw i uroczystości (hr. Adam Zamojski),
- 2) sekcja „książki francuskiej” (Wł. Jabłonowski),
- 3) sekcja szkolna i uniwersytecka (prof. Ujejski),
- 4) sekcja prasy, literatury i sztuki (Z. Dębicki).

Zapisy członków do poszczególnych sekcji przyjmuje codziennie sekretariat Towarzystwa od 7 — 8-ej w.

### TREŚĆ № 4-go.

Cokolwiek mnie przejmuję... — przez *Eugenjusza Korwin-Małaczewskiego*. Rozstrzygnięcie Górnosląskie — przez *Dr. I. P.* Okres dojrzewania w życiu dziecka — *A. Sobolewską*. Pan Andrzej i Margrabia — przez *Cezarego Łagiewskiego*. Nauczycielka — przez *Teffi*, przekł. z ros. *W. B.* W podróżce Europy, powieść — przez *Jadwigę Marciniowską*. Tajna praca oświatowa w Warszawie — przez *Helena Ceyssingerównę*. Kronika działalności kobiecej. — Towarzystwo Przyjaciół Francji. — Dodatek artystyczny. — Dodatek powieściowy p. t. „Furtu” — przez *Emila Bodrero*, ark. 1-szy.

**MAGAZYN I WŁASNA PRACOWNIA**

**KOŁDER WATOWYCH**

**HURT PUCHOWYCH**

BIELIZNY POŚCIELOWEJ I PODUSZEK

DLA PENSJONATÓW I HOTELI CENY NIŻSZE

**DETAL**

**JAN SIERAKOWSKI**

Warszawa, Nowy Świat 10 tel. 308-76.  
Filja, Świętokrzyska 17, tel. 288-88.

POKRYCIA I PRZERÓBKI STARYCH KOŁDER USKUTECZNIA SIĘ.

**MEBLI** wykwintnych i skromnych

olbrzymi wybór salonów, sypialni, stołowych i gabinetów poleca najtaniej

Magazyn mebli Plac Trzech Krzyży 13 róg Żórawiej. Tel. 110-83.

- X. *W. Michalski*, Prof. uniwers. Warsz., Starożytne dzieje biblijne w świetle dokumentów najdawniejszych wschodu z uwzględnieniem krytyki literackiej. Str. 415 brosz. mk. 160.—
- X. *J. Sosnowski*, Żywot Siostry Teresy od Dzieciątka Jezus. Str. 152, w wykwintnej opr. . . mk. 200.—
- X. *J. Sosnowski*, Utwory dramatyczne dla młodzieży (10 utworów scenicznych przeważnie na tematy misyjne, niektóre na ogólne). Str. 302, brosz. mk. 100.— w opr. płóc. mk. 250.—
- Prof. *M. Zdziechowski*, Fryderyk Ozanam. Str. 30, brosz. 10.—
- Roczniki Dzieciństwa P. Jezusa. 4 numery rocznie. Prenumerata roczna . . . mk. 60.—
- Nauki dla Stowarzyszenia Dzieciństwa. Str. 176, brosz. 80.—

DO NABYCIA W DYREKCJI DZIECIĘTWA P. JEZUSA (XX. MISJONARZY)  
Kraków, ul. Ś-go Filipa 19.

### OD WYDAWNICTWA

*Wobec nowych podwyżek cen papieru, druku i klisz prenumerata „Bluszczu”*

za miesiąc LISTOPAD wynosić będzie Mk. 600.— z odnośnieniem do domu, lub przesyłką pocztową.

Zagranicą miesięcznie Mk. 2000.— Cena numeru pojedynczego Mk. 175.—

Wszystkich P. P. prenumeratorów prosimy o szybkie nadsyłanie prenumeraty i wyrównania.

REDAKCJA: Nowy-Świat 41. ☎ Telefon 105-22.

**OGŁOSZENIA** przyjmują prócz administracji „Bluszczu”: Tow. Akc. „Reklama Polska”, Warszawa, Jasna 10, Biuro Ogłoszeń T. Pietraszek — Marszałkowska 115, L. i E. Metzl i Sp. — Marszałkowska 130, Biuro Dzienników S. Ungra — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „Nowa Reklama”, Długa 9 i I. Buchweitz — Marszałkowska 120.